

Lajos Grendel

Dzwony Einsteina
(opowieść z Absurdystanu)

Przełożył Miłosz Waligórski

TAJEMNICE SZWALNI

Małżeństwo, jak powszechnie wiadomo, to prywatna sprawa dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety. Nasz przypadek jednak nie mieścił się w tej normie, ponieważ – mimo że nie przekroczyliśmy granicy monogamii – żyliśmy w trójkącie. Partia śledziła każdy nasz krok, chodziła za nami jak cień, a nawet wlaźła nam do łóżka. Kiedy już do szpiku kości znudziła mi się tak zwana pozycja na misjonarza i zaproponowałem żonie odrobinę fantazji, oburzona powiedziała „nie”. Jej argumentacja, oględnie mówiąc, wprawiła mnie w osłupienie.

– Partia na pewno by tego nie pochwaliła – zauważyła. – Partia wzywa do powściągnięcia się od perwersji.

Zrozumiałem, że moje małżeństwo brnie w ślepą uliczkę. A tak szczęśliwie się zapowiadało, zupełnie typowo. Po tym, jak wstąpiłem do partii, zdałem egzamin magisterski i odbyłem rok zasadniczej służby wojskowej, teść rozpostarł nade mną swoje opiekuńcze skrzydła i wyprawiliśmy weselicho, na którym Zosia umyła sobie nogi w szampanie, mnie całego wysmarowała kawiozem, a potem, około północy, wzięła pod rękę, byśmy w rytmie rześzystych braw gości uroczyście przedefilowali do sypialni. Wtedy jeszcze nie przeczuwałem, że to będzie ostatni popis jej ekscentryzmu. Szedłem do łóżka z panią Récamier, a rano obudziła się przy mnie Joanna d’Arc.

Radość ze ślubu, najintensywniejsze i najwznioślejsze chwile naszego szczęścia przerwał mój skłonny do pieniactwa ojciec. Znów był zwykłym szewcem, po sześćdziesiątym ósmym usunięto go z partii, a on z zemsty wrócił na łono Kościoła. Tego, że kolaboruję z władzą, nie pochwalał, słał mi nieprzyjemne listy z żądaniem ślubu kościelnego, o którym Zosia i teść oczywi-

ście nawet nie chcieli słyszeć. Strasznie się pokłóciliśmy, co zaowocowało deklaracją ojca, że on nie zamierza uczestniczyć w pogańskim obrzędzie, a nasze małżeństwo uznaje za nieważne. Kiedy teść zobaczył, jak bardzo jestem zmartwiony, przystał na kompromis. Wspólnie postanowiliśmy, że tydzień po złożeniu przysięgi w urzędzie tajnie powtórzymy ją w moim mieście rodzinnym w obecności ojca i dwóch świadków. Taki układ odpowiadał też głównemu zainteresowanemu, który, jak tylko się o nim dowiedział, w try miga podreptał na rozmowy do miejscowego proboszcza. Po kryjomu stopniowo wszystko dopieiliśmy na ostatni guzik. Zgodnie z umową Zosia miała dojechać na miejsce pociągiem, a ja dzień wcześniej autobusem, żeby przygotować teren, wypowiedać się i przyjąć komunię. Ze współudziałem księdza nie było kłopotu, w razie czego sam Pan Bóg załatwiłby mu alibi. Bigosu narobiła Zosia. W ostatniej chwili zacięła się w sobie i oznajmiła, że nie jest hipokrytką, przysięgać może co najwyżej na *Kapitał*, ale na Biblię – za Chiny. Rozstaliśmy się w gniewie, choć po cichu wierzyłem, że mimo wszystko opamięta się i przyjedzie.

Guzik. Nie przyjechała. W sobotę o pierwszej po południu z ojcem i dwoma świadkami stałem w kościele katolickim przed ołtarzem naprzeciwko plebana, który z groźbą w głosie zakomunikował nam, że na obu nogach ma żylaki, przed rokiem wyleczył zakrzepicę, a poza tym zaraz musi iść wypowiedać pewną wdowę, schorowaną, choć trudno to sobie wyobrazić, bardziej niż on.

– Gdzie jest panna młoda? – zapytał surowo.

Z tyłu ojciec i dwóch świadków (również szewców) dźgali mnie w plecy trójzębem ostrych spojrzeń. Ksiądz z kolei przypatrywał mi się z takim wyrazem twarzy, jakby wczoraj posiadał prawo miecza.

– Rano, wysiadając z pociągu, złamała nogę – powiedziałem.

W wąskich ustach katabasa stworzyła się szczelina i pomiędzy zębów ruszyły olbrzymie głazy.

– Znajdujesz się w Domu Bożym, synu, nie na targu. Nie łzyj!

Poprosiłem o chwilę cierpliwości. Czekałem na cud, na jakieś objawienie albo szept mojego niedoścignionego Ja. Nic z tego.

Gra na zwłokę szybko dobiegała końca. Z rozpaczy w głowie zaczęła mi próchnieć piąta klepka, traciłem rozum.

– A czy uroczystość nie mogłaby odbyć się bez udziału żony? – spróbowałem ostrożnie wybadać grunt. – Takie zawarcie małżeństwa na odległość. Jak, dajmy na to, w przypadku amerykańskich żołnierzy, którzy służyli w Wietnamie... Ojciec wielebny rozumie, prawda?

Z jego ust jednak wciąż tylko padały potężne, coraz bardziej przerażające kamienie.

– Mogłaby – zadudnił – ale nie u nas, synu. Zwróć się do Kościoła Mahometa – i odszedł.

Przygnieci wstydem wydostaliśmy się na jaskrawe światło dnia. Ojciec złowieszczo westchnął, by zaraz przed struchlałymi świadkami w biblijnym afekcie chwycić mnie za kołnierz i ryknąć:

– Przeklinam cię!

Zostałem sam.

Wszystko wskazywało na to, że złapałem Pana Boga za nogi i rzeczywiście otwiera się przede mną cudowna przyszłość. Kiedy wróciliśmy z Zosią z podróży poślubnej – a byliśmy w Leningradzie – teść oświadczył, że załatwił dla mnie świetną pracę i jutro mi ją pokaże.

Wcześniej rano jego škodą wybraliśmy się w drogę. Usiadłem z przodu i zacząłem wypytywać o swoje nowe zatrudnienie. On za kierownicą tylko tajemniczo się uśmiechał, ale w końcu powiedział:

– Spodoba ci się, zobaczysz.

Poza tym nie udało mi się wyciągnąć z niego ani słowa. Najpierw niby bez celu krążyliśmy po centrum, jakbyśmy chcieli zgubić kogoś, kto nas śledzi, a potem nagle teść przycisnął gaz i ruszyliśmy z kopyta na przedmieście między fabryki, składowiska złomu i sypiące się czynszówki. Zaparkował przy wygasłym kominie, uważnie się rozejrzał i jakby mimochodem rzucił:

– Stąd pójdziemy pieszo.

Przecieliśmy tory, a następnie ścieżką wśród garaży doszliśmy do nowiusieńkiego budynku, który wyglądał na dom mieszkalny.

Kiedy teść wprowadził mnie do środka, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Na parterze była szwalnia.

– Ale co ja mam tu robić? – spytałem zbity z tropu.

– Będiesz zastępcą dyrektora – odpowiedział.

– W szwalni?

– A skąd!

– Ale przecież to jest szwalnia!

– A skąd! – powtórzył.

– To co to jest?

– Instytut badawczy – wyjaśnił ku memu zdziwieniu.

Zaniemówiłem, bo jeśli w tej szwalni, wbrew racjonalnym przesłankom, naprawdę mieścił się instytut badawczy, to wówczas również moje spotkanie z Einsteinem zdarzyło się na jawie, a nie w sferze złudzeń. W pomieszczeniu, do którego weszliśmy, za autentycznymi maszynami do szycia siedziały autentyczne szwaczki. Pozdrawiały nas wyjątkowo serdecznie, co świadczyło o tym, że teść zaglądał już do nich wcześniej i to często. Obudziło się we mnie podejrzenie, czy przypadkiem ten instytut ukryty pod postacią szwalni nie jest w istocie zakamuflowanym burdelem, z mieszanymi uczuciami odkłaniałem się więc dziewczętom przyszywającym kołnierze do ubrań roboczych. Najdziwniejsza wydała mi się staruszka, która w kącie cerowała skarpety. „Burdelmama” – pomyślałem. Chwilę później gmach moich przypuszczeń zawalił się niczym domek z kart. Jednej szwaczce upadły nożyczki, a kiedy się po nie schyliła, z kieszeni jej fartucha w białe kropki na podłogę zsunął się pistolet. Rozdziawiłem gębę. Twarz dziewczyny nabiegła krwią, a teść zawył na nią jak wściekły kapral:

– Żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

Złapał mnie za ramię i pociągnął za sobą, wywłókł na korytarz i wepchnął do windy. Wysiadając na trzecim piętrze, spotkaliśmy kolejną szwaczkę. Na pytanie teścia, czy kierownik jest u siebie, nieufnie przytaknęła, po czym szepnęła, że boli go głowa. Odwracając się do wyjścia, siedzeniem zahaczyła o drzwi – rozległ się dźwięk blaszanej puszkii. Zacząłem obmyślać plan ucieczki.

Kierownik nazywał się Svätózár Człowiek, był starszy od Via Appia i pykał z fajki jak turecki handlarz.

– Mój zięć – przedstawił mnie teść.

– Witam – lekceważąco, przygryzając ustnik, odezwał się z fotela Svätózár Człowiek.

– *Češť práci*¹ – wybąkałem przerażony.

I tak się poznaliśmy. Szef raz jeszcze raczył zniżyć się do mojego poziomu:

– Jestem stary – skonstatował.

Było to pierwsze zdanie wypowiedziane w tym dziwnym budynku, które zrozumiałem. Niepokoiło mnie podekscytowanie teścia. Widziałem, że ze strachu płaszczy się przed tym starcem, niemalże trąc brzuchem o podłogę. Później, w drodze do działu kadr, półgłosem zdradził mi, że Svätózár Człowiek to stary wiarus, cierpi na niezwykłą chorobę: nie może ani stać, ani leżeć, tylko siedzi. Tak też, na siedząco, śpi. W tej pozycji co rano jest tu przywożony, a po południu odwożony osobistą furgonetką, którą, by zwiększyć bezpieczeństwo, przerobiono na piekarski samochód dostawczy.

W dziale kadr urzędował facet z kozią bródką, podobny trochę do Trockiego, a trochę do Bułganina. Z grzeczności prawie pocałował mnie w rękę. Szybko zaczął podtykać mi pod nos jakieś formularze, tyle że ledwie nadążałem z wypełnianiem, a równocześnie opowiadał dowcipy, z rozmachem relacjonował przygody, jakie zdarzyły mu się na polowaniach, aż w końcu przewrócił kałamarz, z którego wypłynął bardzo dziwny atrament: najpierw zmienił barwę z niebieskiej na żółtą, a po chwili z sykiem odparował, zostawiając po sobie wypalony w blacie stołu mały krater.

– To nic, furda – uprzejmie uspokajał koziobrody. – Zaraz każę przynieść z kantyny zastępnik.

Tymczasem ja nadal mordowałem się z formularzami. Kiedy doszedłem do rubryki „zawód”, musiałem zwrócić się do teścia z prośbą o wyjaśnienie.

1 „Cześć pracy”. W oryginale także po słowacku. [Przypisy pochodzą od tłumacza].

- Wpisz „szwaczka” – powiedział od niechcienia.
- No nie – zabiadoliłem.
- Dobra, napisz więc „badacz”.
- Jaki znów badacz? – jojczyłem dalej.
- Jak to jaki? Badacz naukowy. Jaki inny może pracować w instytucie badawczym?

Zacząłem ponownie rozważać ucieczkę, lecz na darmo, czułem bowiem, że i tak zabrakłoby mi na nią odwagi. Kadrowy z kozią bródką wcisnął mi do ręki pistolet.

– Szwaczkom można wprawdzie ufać – powiedział – ale, sami rozumiecie, licho nigdy nie śpi... Chodźmy, pokażę wam wasze miejsce pracy.

Przy prezentacji mojego gabinetu teścia już ze mną nie było. Od koziobrodego dowiedziałem się, że instytut, w którym ni stąd, ni zowąd zostałem drugą najważniejszą osobą, nie działa tajnie, tylko incognito, jego pełna nazwa zaś to Anabatyczny Instytut Badawczy (w skrócie: AIB) Słowackiej Akademii Nauk i Komitetu Centralnego Słowackiej Partii Komunistycznej. Obdarzono mnie zaufaniem, więc zostałem mianowany pierwszym wicedyrektorem Wydziału Kierownictwa Anabatycznego Instytutu Badawczego. Moim bezpośrednim i jedynym przełożonym był dyrektor generalny, akademik Svätózár Człowiek. W instytucie panował zwyczaj zwracania się do szwaczek po imieniu, a do szefostwa i pracowników naukowych pseudonimami. Kadrowy na przykład funkcjonował jako Microfil. Poprosił, żebym był na tyle uprzejmy i od teraz mówił do niego wyłącznie w ten sposób. Miałem też wymyślić coś dla siebie. Ta zasada nie dotyczyła jedynie Svätózára Człowieka, ponieważ on był akademikiem i pod takim imieniem znano go również w Związku Radzieckim.

– W porządku – zgodziłem się. – Mnie odpowiada kryptonim Gułag.

– Bardzo śmieszne – cierpko skomentował Microfil. – Nie uważacie, że brzmi to zbyt prowokacyjnie? Wszakże odwiedzają nas także towarzysze z ZSRR.

– Dobrze – powiedziałem pojednawczo – w takim razie niech będzie Car Piotr.

Książka dostępna w księgarni

